

STASZIC ZAGRANICĄ

(1790 — 1791).¹⁾

Początek roku 1790. Wpływy rosyjskie złamane. Obrady sejmowe toczą się w tempie coraz żywszem, śmielszem. Staszic, niewiezwany, już spełnił swą tymczasową służbę publiczną. Wszak rzucił wcześniej, przed paru laty, stanom, obecnie sejmującym, te bezładne a przejmujące, bolesne a żarliwe manifesty, wyznania, jednym tchem wypowiedziane z mocą niewidzianą przedtem, z grozą wstrząsającą, z obawą nietajoną — „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“ i „Przestrogi dla Polski“. Po tem jedynem, wyjątkowem napięciu wszystkich sił ducha, tworzącego w męce przeżyć głębokich, w umiłowaniu fanatycznem ojczyzny odradzającej się po doświadczeniach dotkliwych, udaje się Staszic z rodziną ordynata Andrzeja Zamoyskiego w podróż do Włoch. Był to bezwątpienia i mus czysto zewnętrzny — zobowiązania podjęte już w roku 1781, jako nauczyciela i wychowawcy synów Ordynata: Aleksandra i Stanisława. Ale tym razem mus był dobroczynny, bo łączył się zgodnie z potrzebą wewnętrzną, z koniecznością wypoczynku, wytchnienia po twórczości - czynie, wyczerpującej niepomierne. Opuszczał Staszic kraj z gorzką pewnością, że wołania jego ku umiłowaniu sprawy publicznej, jako własnej, osobistej, że przekonywania o odrodzeniu narodu przez uwłaszczenie ludu, że przestrogi przed zniesieniem Rady Nieustającej, przed aliansem z Prusami — przeświadczenia, poparte argumentami ważkimi, pozostaną bez urzeczywistnienia rychłego,

7792

¹⁾ Na podstawie autograficznego rękopisu Staszica: „Dziennik podróży 1790—1796“, w mns. Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu.

gdyż samotny głos syna mieszczańskiego z trudem dochodził do uszu wielmożnych i urodzonych, a tembardziej nie mógł jeszcze trafiać skutecznie do sumień i woli, skostniałych w prywatnie, w bezczynnie. Lecz prawda ta tem pewniej utwierdzała go w mocy czynu dalszego, wytrwałego na rzecz sprawy publicznej.

Okoliczności, towarzyszące wyjazdowi Staszica z kraju, i stan ówczesnych Włoch sprawiły, że była to podróż nie jedna z wielu, odbywanych w latach 1777—78, 1782, 1795.

Przypadek zrządził, iż wśród rozproszonej i w większości zagubionej spuścizny rękopiśmiennej po Staszicu dochowały się jego własnoręczne notaty podróże, uwagi luźne, rzucane przygodnie, z dnia na dzień. Pozwolą nam one towarzyszyć Staszicowi w jego podróży do Włoch. Dla poznawczych celów wojażu ów kraj nadawał się pono więcej, niż jakikolwiek inny.

Włochy ówczesne XVIII wieku były geograficzną tylko nazwą. Całe to terytorium było dziwnie poszarpane na samodzielne, de jure, strzępki państwowe o najróżnorodniejszej strukturze społeczno-politycznej. Gnieździły się tam republiki arystokratyczne, jak Wenecya, Genua, Lukka, San Marino; teokratyczne Państwo Kościelne; księstwa: Toskania, Parma, Modena-Reggio, Piombino, Monaco; królestwa: Sardynia i Neapolitańsko-Sycylijskie,—wszystkie z jedną, dwiema dynastjami rodzimemi, a poza tem niezawisłe: — Lombardia z Mantua, podległa Austrii, Korsyka należąca do Francyi, Malta—do rycerzy maltańskich. Państewka te jęczały pod rządami mniej lub więcej despotycznymi książątek i królewiat, z którymi nie miała co czynić Europa mocarstwowa. Rządy tych władców przypadkowych, chwilowych a kosztownych — przeważnie najmłodszych latorośli Habsburgów i Bourbonów — musiały brzemieniem ciężkiem kłaść się na lud niefrasośliwy, pogodny, a biedny i ciemny, bo „najgorzej jest żyć pod despota, który ma kraj mały, jak u nas najgorzej chłopu pod szlachcicem na małej wiosce“ (Staszic).

Tem srozsze, twardsze musiały być te rządy, im pożądlwsze było zainteresowanie nieszczęsnym krajem możnych i przebiegłych sąsiadów austro-niemieckich i francuskich. Kupczono bez litości żywym ciałem narodu bezwładnego, rozbitego społecznie na uprzywilejowane duchowieństwo i szlachtę, a pod nimi ciemną, nędzną masę ludu. Bo dopiero w Toskanii, w górnych Włoszech było nieco inaczej: stopniowo dochodziła do znaczenia i wpływu burżuazya handlowo-przemysłowa, znośniejsza też była dola drobnego rolnika. Tutaj królestwo Sardyńskie pod dynastją sabaudzką zdołało doprowadzić do względniego ładu nietyl-

ko swój mechanizm państwowy, lecz i stosunki społeczne, przekształcając je w myśl wskazań życia nowoczesnego przez zniesienie pańszczyzny i innych przeżytków feudalizmu. Lombardia zaś kroczyła po drodze reform gwałtownych, narzucanych jej mechanicznie przez cudzoziemskie panowanie Józefa II; w każdym razie osiągnęła względny dobrobyt materyalny. Budził się tu na północy ożywiony ruch umysłowy pod wpływem literatury wieku oświecenia, encyklopedystów i w związku z reformami państwowymi, idącymi z góry. Ale nawet wśród tych Toskańczyków, Piemontczyków, Lombardczyków, żyjących życiem żywszem, pełniejszym, nie uzewnętrzniało się prawie jeszcze poczucie jedności narodowej:—zbyt ich dotąd dzieliły granice państwerek o własnej przeszłości, o własnych odrębnych interesach ekonomicznych i politycznych. A jednak i tam, choć opornie, gdzieś tam, powoli, wschodził już posiew płodny Wielkiej Rewolucji, niósł Italii — postrzępionej i pogiębionej—świadomość jedni narodowej, co w konsekwencji dziejowej, jeszcze dalekiej, rzucało pobudkę rozgłośną do czynu, do walki nieubłaganej o jedność polityczną. Posiew oczekiwany wzejść musiał, bo gleba żyzna była. Bo jednak tliły gdzieś pod popieliskiem przemocy militarnej despotów własnych i cudzych iskry pożarne, niecone płonnie niegdyś, przed wiekiem, przez Macchiavellego, tego głębokiego a zapoznanego patriotę ogólnonarodowego. Do nich dorzuca zarzewie nowe trzeźwy spokojny filozof-historyk, Vico, kreśląc w swej „*Principi di una scienza nova intorno alla commune natura delle nazioni*“ nadzieję bezwzględna, pewną odrodzenia narodowego. Rozpłomienił je znów później „najpierwszy nowożytny Włoch“, poeta wytworny, zapalny, Vittorio Alfieri, gdy w pewności proroczej wieszczył dzień, kiedy przyszli Włosi porwą się mężnie do boju wyzwolenczego. Dzień ów jeszcze nie świtał. Obecnie zgnębiona, nieszczęsna, — niosła już w sobie przeznaczenia wielkie Italia słoneczna. Do niej zdawien dawna pielgrzymowali Polacy cni i występni. Ostatnio dążyli: Konarscy i Rzewuscy, Małachowscy i Potoccy, Sołtykowie, Sapiehowie, Lubomirscy, Poniatowscy i wielu, wielu innych. Cele ich podróży były różne i drogi niewspólne. Byli pono i tacy, co jeździli „jeść, pić i używać“. Wielu tam było, siedziało długo, i my dziś, po upływie wieku, o tych jednostkach wytycznych nic nie wiemy z ich wczasów włoskich, co stamtąd zaczerpnęli: czy tylko garść wrażeń orzeźwiających, czy doznali wypoczynku, choć chwilowego, po przeżyciach oszałamiających klęsk ojczyzny upadającej, a może zapomnienia trwalszego cudzych czy swoich czynów niecných. Nie zapomnienia, ani użycia szukać tam będzie Staszic.

Kłam zada uragliwej uwadze Fr. Schultzego, że Polacy kosztem zabaw lekkomyślnych zaniedbują w podróżach zagranicznych pozyskiwać wiadomości pożytecznych dla kraju. A pod względem umiejętności spostrzegania bacznego i zainteresowania ciągłego wytrzyma niechybnie porównanie z przenikliwym i wysoce utalentowanym autorem „Lettres historiques et critiques sur l'Italie“, a nawet z przeznakomitym poprzednikiem w wędrówce po Włoszech — Montesquieu'm. Różnorodnością zaś dróg, środków obserwacyjnych i skalą zaciekawienia, otamowywaną zapewne dotkliwie przez obowiązki wychowawcy, przewyższy bodaj autora „Voyages“. Bo rozglądać się będzie planowo, spostrzegać pilnie, wypytywać wnikliwie o wszystko, co go uderzy, pobudzi do myślenia, do odczucia żywszego, — o wszystko, co ma pomnożyć jego znanstwo życia jednostkowego i zbiorowego. Nie ominie sposobności porozmawiania z przedstawicielami najróżniejszych sfer, środowisk, interesów i zawodów: z dyplomatami i duchownymi, z żołnierzami i zakonnikami, z uczonymi i prostaczkami, z bankierami, kupcami i biedakami. Zachodzić będzie do chat przydrożnych, zawiązywać dyskurs z oberżystami, woźnicami. Spacerować zechce wśród tłumu, aby spostrzegać lepiej jego poruszenia bezpośrednio, aby posłuchać rozmów bezładnych. Świtaniem wymykać się będzie za miasto, aby pogawędzić z oraczem pracowitym o doli jego łżejszej, niż dola chłopca polskiego, aby zagadać z przygodnym przechodniem, który „zdawał się... rozsądny, tylko wielki krzykacz, jak zwyczajnie Włochy“. To znów „wejdzie w rozmowę“ z „librairem“ gorliwym zwolennikiem rewolucji francuskiej. Wciąż i wszędzie będzie patrzył, słuchał, pytał. A zawsze z pozornie nieśmiałą myślą o Polsce, jak gdyby utajoną, ukrytą głęboko w obawie czujnej, że wyraźne, jasne wspomnienie jej nakaze mu bezpłodny powrót do kraju, gdzie tymczasem nic więcej czynić nie mógł nadto, czego już dokonał. A choć na ustach jego — uważnego i chłodnego obserwatora — zrzadka tylko zjawi się wyraz Polska, pozory te nie złudzą, bo pamięć o niej towarzyszyć mu będzie już stale: mówią o tem krótkie, gwałtowne wybuchy słów niedobieranych, a wyrwywających się z głębi, z pod powierzchni ułudnej, spokojnej, — słów nieszukanych wówczas, gdy trzeba już mówić o tem, co boli.

Podróż swą Staszic rozpoczął dnia 6 kwietnia roku 1790. Jechał na Wiedeń, więc przez zabór austriacki. Tam widne już były mnogie oznaki zewnętrzne, „dręczące widoki“, świadczące o poważnych przekształceniach, sięgających głębiej w życie mieszkańców królestwa Galicyi i Lodomeryi. Ludwichstadt (Podgórze)

miast dawnych pałaców, dworków, domków mieszczańskich posiadał już mnóstwo koszar, magazynów wojskowych, komór celnych i domostw biurokracyi rozwielniożnionej. Zwiedził Staszic pobliską Wieliczkę i opisał ją szczegółowo z zapalem wybitnego krajoznawcy, miłośnika rodzimych bogactw kruszcowych, a przypomniał z goryczą: „byli tacy, którzy przykładali się usłudze, żeby tę kopalnię dom austriacki zabrał“. Pomimo całej niechęci do rządu zaborczego „wielbił“ bezstronnie jego dbałość o stan dróg, z żalem jednakże, że „tego nie zrobili Polacy“, że „tej użyteczności pamięć i chwała nam się nie dostała“. W Kalwaryi zaś wspominał z pewną sympatją o zarządzeniach Józefa II względem odpustów, gdyż „pielgrzymki po odpustach odrywają lud pracowity od pracy... wólcęga (taka) psuje obyczaj“. Z Kalwaryi przez Andrychów, Kenty, Białą przybył Staszic w ostatnich dniach kwietnia do Cieszyna. Na Śląsku i stale już dalej obserwował uważnie różną dolę chłopów pańszczyźnianego, wchodził w szczegóły życia „nowosiedlców“-czynszowników. Spostrzeżenia te, ujęte w wyrazy krótkie, zwięzłe, uderzają bogactwem rysów cennych, charakterystycznych. Np. „Lasy są bardzo małe, tylko kępkami. Ludzie poddani drzewo kupują. Miasta są nierównie od naszych piękniejsze, ludniejsze i rzemieślnikiem obsiadłe. Żydów w nich nie widać. Kościołów bardzo mało, osobliwie po wsiach. Łąk mało, pastwisk gromadzkich żadnych niema, każdy na swoim gruncie tylko pasie, sady obszerne i po miastach i po wsiach. Rzeczek gęsto, grunta glinkowate, drogi brukowane, ale tylko bardzo złe“. (Okolice za Cieszynem) Tu i gdzieindziej kierował Staszic uwagę baczną na stosunek wsi do miast, wygląd mieszkańców, ich zajęcia i ugrupowania, na topografię miejscowości, sposób uprawy ziemi, ilość i wytrzymałość bydła pociągowego, jakość nierogacizny, na urządzenie zagród, wnętrza domów mieszkalnych i t. d. i t. d. Nawiasem, opisując miasta, nasz podróżny częstokroć zaznaczał, gdzie niema żydów, bez żadnej zresztą nieprzychylniej dla nich uwagi. A nawet, potępiając niechlujstwo żydów, uznawał zapewne ich dodatnią rolę wżywieniu handlu. „Miasto bez żydów, nie śmierdzi, jest czyste, ale mizerne“. Bądź co bądź, Staszic i w czasie tej podróży pilnie uzupełniał wypowiedziane już wcześniej uwagi o żydach nowymi spostrzeżeniami, o ile słusznymi, przekonamy się później, na tem wszakże miejscu zaznaczyć należy, iż statysta nasz swe sądy budował zawsze na fundamencie spostrzeżeń rozległych, ciągłych, być może mylnych, lecz z dobrą wiarą czynionych. Ale były i inne zainteresowania stałe.

Szkolnictwo—przedewszystkiem ludowe. Z jaką zazdrością spoglądał na szkółki wiejskie, na dzieci, idące do szkoły. Bo w kraju nawet „oświecenie ludu około religii, około powinności stanu jego, około robót i przemysłu w tymże stanie“ spotykało się z niechęcią dużą opinii publicznej—szlacheckiej. Wrażenia podróżne zmieniały się często. W Ołomuńcu szczegółowo oglądał Staszic twierdzą; nie przeczuwał, iż widzi przyszłą katownię Kołtątaja i Zajączka. Dalej, pod Winnicą zainteresował go znów stan włościan: „niema między niemi żydów, niema pijaństwa“ lecz „mogą być krzywdzeni od pana“, jak w Polsce. W „Bryniu“ zaś morawskim—jaskrawy dowód oświeconych rządów monarchy absolutnego: wielkie kolegium pojezuickie „zapchane“ przeróżnego znaczenia biurokratami. „Taki to znowu gatunek ludzi próżniaków, jeżeli nie pod imieniem mnichów, to pod imieniem pozorniejszem rządu mieścić i żywić się będzie“. Równym to dla kraju i dla rolnika jest ciężarem. Klasztory użyto na koszary, „więc kraj nie zyskał na tej odmianie kosztownych, a niebezpiecznych próżniaków“. Mimo tylu pasorzytów rozwijał się tam przemysł, skupiały się najświetniejsze fabryki sukna, sznurków, czapeczek i tasiemek bawełnianych; ostatnich sprzedawano najwięcej do Polski, więc troskał się Staszic: „czyżby nie można u nas rzeczy tak łatwej do robienia zaprowadzić“. Pod Bernem widział na górze skalistej zamek Spilberg — „miejsce okropne, katusza despotyzmu. Ofiary przemocy, często bez publicznego sądu, jęczą w lochach podziemnych“. A „lud wojaczów uwielbia“, choć za niemi „ciągnie się niewola, podatki, braństwo dzieci, ruiny, zburzenia“, bo „ludy nie od rozumu, ale całkiem zawisły od zmysłów“. „Polski Rousseau“, demokratą szczerą, krytyczniej od filozofa gienewskiego patrzył na pobudki poruszeń ludu - tłumu, głębiej wnikał w psychologię zbiorową. W pierwszych dniach maja podjeżdżał Staszic do stolicy austriackiej; występowały cechy charakterystyczne rządów wiedeńskich: największe domy murowane należały do karczmarzy lub urzędników, „najpodlejsze były dla rolnika“. W Wiedniu Staszic przebył od 8 maja prawie trzy tygodni. Panował już od kilku miesięcy Leopold II. Szedł on, według Staszica, drogą pewniejszą, niż jego poprzednik, ku utrwaleniu absolutyzmu: nadawał przywileje szlachcie i duchowieństwu, a chłopom i mieszczaństwu gwarantował bezpieczeństwo i spokój. Ale losu ludu nie polepszył, bo podatki dawne pozostały, rekrutów brali, jak zawsze, wojna trwała, a jednak zyskał sympatyę poddanych, gdyż pozwolił „ludowi bawić się po kaplicach, chodzić po odpustach, włóczyć się z chorągwiami i obraza-

mi po mieście“. Stąd wniosek macchiavellowski—wskazanie dla monarchy absolutnego: „niechaj lud bawi, ulega jego opinii, wchodzi w nią, a potem niechaj go obarcza podatkami—tem źródłem swojej potęgi“. Charakter rządu despotycznego, „Niemców nań nieczułość i do niewoli zwykłość“ wyrażała się najdobitniej na przyjęciach u wszechwładnego Kaunitza, gdzie każdy uważa za proszenie za honor, za szczęście, choć jest w pogardzie. Gospodarz wpierv sam „je z półmisków swoją łyżką, a potem dopiero innym roznoszą. On pół godziny żęby i gębę myje przy stole, a drudzy muszą siedzieć i patrzeć na to. Oto czem jest człowiek w oczach jednego wezyra w despotyzmie!“ Korzystniejsze wrażenie wyniósł Staszic z bytności na dworze cesarskim w czasie audyencyi publicznej, bo dostał się i tam zapewne zupełnie przypadkowo, „jakimciś sposobem stosując sobie minę barona“. Cały czas pobytu w Wiedniu schodził na zwiedzaniu muzeów, galerii, fabryk, obserwatoryów, bibliotek, gabinetów przyrodniczych. A starczyło mu jeszcze czasu na czterogodzinny dyskurs z astronomem X. Helli na temat odmian we wszechświecie. Spacery zaś w ogrodach i parkach publicznych dawały asumpt do porównań między „próżniakami... lubieżność nasycającymi... nudność rozbijającymi“ i tymi, którzy przychodzili „dla spoczynienia po pracy“. Podziwiać należy, jak w tak krótkim czasie, spełniając obowiązki wychowawcy i nauczyciela, mógł Staszic wszędzie być, nie opuścić nic, godnego widzenia, korzystać pilnie, uważnie z każdej chwili pobytu. Po wyjeździe z Wiednia skala wrażeń jeszcze się spotęgowała. W dalszym ciągu gromadził Staszic swe trafne uwagi geograficzno-geologiczne. Nie brak i przypomnień przykrych niedoli Polski. „Widziałem kilkunastu polskich rekrutów, od pół roku wziętych z Łańcuta. Narzekali, że nie mogą zapomnieć żon i dzieci, od których wzięci. Wielu z nich poumierało“. Im bliżej Włoch, tem wsie i miasta „mizerniejsze“; różnią się od miast naszych polskich tylko tem, że „zamiast żydów—katolicy“. „Lud ubogi, grunta mizerne... chłop pańszczyznę robi, bardzo jest niespokojny i szemrze“. I uogólniał spostrzeżenia poszczególne: mieszkańcy gór są nabożniejsi, zabobonni i mniej oświeceni wskutek utrudnionej komunikacyi z szerokim światem. Styrya wyższa „ma podobieństwo... do Polski, oprócz tego, że Polska ma swoje wsie i miasta, równie z tutejszemi ubogie, na ziemi żywej i we wszystko obfite“. Polskę przypomina mu i „hreczka w polu“, widziana po raz pierwszy od czasu wyjazdu z kraju.

W granicach republiki Weneckiej uderzał przejeżdżających upadek miast, handlu, wywołany zarządzeniami celnymi Austrii.

Biedzie tego kraju sprzyjała mnogość przedstawicieli stanu duchownego. Uwagi podobne powtarzały się już stale we Włoszech. „Wszędzie widzę jeszcze wielką przyczynę ubóstwa w mnóstwie księży“. Wypowiedział to już obrazowo przed laty sześćdziesięciu Montesquieu, bez podkreślenia jednak znaczenia ekonomicznego danego objawu.¹⁾ Jak w krajach despotycznych, co okazalsze gmachy publiczne mieściły w sobie arsenał, magazyn wojskowy lub karczmę, tak tu: klasztor, szpital, seminaryum, dom biskupi. Najwięcej jednak interesowało Staszica położenie rolnika, uprawa gleby. Spostrzeżenia nasuwały mu wnioski, że grunta drobnych właścicieli są uprawne lepiej, pracowiej, niż duże własności, gdyż „wielka tej (ostatniej) rozległość — przyczyną nikczemnej uprawy“. Grunta dziedziczne lepiej, niż czynszowe. „A tak blizkie porównanie ziemi *małych właścicieli* z ziemią *wielkich panów*, stało się w moich oczach doświadczeniem, jak to własność tych ostatnich jest szkodliwą“. Wniosek ten popierać będą i późniejsze spostrzeżenia.

Sama Wenecja „świadek gwałtu między narodami“ nie zrobiła na Staszicu większego wrażenia. W czasie przejazdu jego przez Padwę miasto święciło okazale dzień św. Antoniego uroczystą procesją. „Widziałem w niej wszystkie dawne głupstwa z przesądów nauczania... i zwyczaje fanatyzmu“, notował, mając widocznie na myśli pompę stanów i urzędów, biorących w niej udział. Na tydzień przed przybyciem do Florencji w całej Toskanii wybuchły rozruchy ludowe na tle ucisku fiskalnego, drożyzny produktów spożywczych, oraz zakazu procesji i wolnego sprawowania nabożeństw.

Szlachta poparła księcia, który umiał ją ująć błahemi przywilejami, więc bunt został wkrótce stłumiony przy pomocy „strazy obywatelskiej kokardowych“, „którzy—według określenia przygodnego interlokutora Staszicowego — opowiadają się być obrońcami obywateli, a są hultajami, birbanti“. Aresztowanych wywożono na galery nocą, aby lud nie odbił ich za dnia. Naza jutrz wiadomość o wywiezieniu przyjęto obojętnie, nie porwano się do czynu gwałtownego, bo nie było bodźca bezpośredniego, bo „lud tylko podług zmysłów czyni... nie podług rozumu“. Tę

¹⁾ Montesquieu, Voyages, I, 153: „On ne peut, sur les chemins d'Italie, tourner la tête sans voir un prêtre... Ces gens, ennemis mortels du couvent, voyagent toujours. L'Italie est le paradis des Moines. Il n'y a aucun ordre qui n'y soit relâché“.

uwagę Staszic powtarzał często z żalem ukształconego racjonalisty.

Korzystając z dłuższego pobytu we Florencyi, zwiedzał szczegółowo muzea, pałace, biblioteki, miasto samo i przepiękne jego okolice. Była to już druga połowa czerwca, więc pora nie bardzo odpowiednia dla wędrówek tego rodzaju po mieście, ale Staszic nie przerywał swych zwykłych wycieczek. Oglądał Palazzo-Vecchio, gdzie dawniej w wspnianiałych salach obradowała wolna rzeczpospolita, gdzie na murach widniał jeszcze niezatarty, dumny wyraz „Libertas“, a „dziś leżą kołyski, pieluchy, stołeczki i materace dzieci domu Austryackiego“.

W innych salach wolnego niegdyś narodu kwaterował odwach żołnierski. A patrząc na napis na grobowcu Kosmy I: *Pater patriae*, wyrzekał, że prawie zawsze despotci są zwani ojcami ojczyzny. Błądząc po Florencyi, stwierdzał niejednokrotnie, iż nie masz w niej męża, tylko dzieła sztuki. Chciano za rządów despotycznych cały naród florentyjski zamienić w malarzy, snycerzy, poetów; obawiano się mężów, obywateli czynnych, więc nic dziwnego, iż stał się on niewolnikiem odnawiających się zwolna zwyczajów: świętowań, procesyi, które dają powód do włóczęgi, rozrywki, a nie usposabiają do skupienia się nabożnego, do modlitwy cichej, gorącej. I zwyczaj ten utrzymywało wychowanie: kształciło świętoszków, a nie prawdziwie religijnych. Zarządzenia Leopolda przyczyniły się znacznie do podniesienia kulturalnego i umysłowego poziomu ludu. Gdy monarcha spostrzegł ten objaw niepożądany dla rządów absolutnych, wrócił ludowi „zabawy i znowu florentczyk spokojnie bawi się i śpiewa w kajdanach“. „Między mieszczany i szlachtą niemasz związku, jest wzgarda i nienawiść“. Lud poniżany przez szlachtę, płaszczącą się przed żołdactwem, „lud—głupi, wcale siebie nie zna“. Pragnąłby widocznie Staszic, aby lud poznał swą siłę, upomniał się o prawa, nie pozwolił na swe poniżenie. Był pewien, że zasada polityki despotycznej: *divide et impera* zbankrutować musi, gdy naród przestanie być „poróżniony i niewolnikiem“.

„Rewolucya francuska otworzy książętom oczy“. Dotąd jeszcze florentcykowie byli z despotyzmem „ozwyczajeni“.

Słyszac o zrzeczeniu się przez Leopolda Toskanii na rzecz syna, Staszic w prostocie ducha niepodległego zapytywał, co przekazał on swemu następcy: ziemie swoje dziedziczne, czy mieszkańców wraz z ich własnością. A gdy zapytani, spojrzawszy na niego „jak na człowieka dzikiego“, zaczęli pouczać, że Leopold był panem Toskanii „równie jak swoich krów w Kaschinie“, on

dziwił się „kto z nas (rozmawiających) do dzikiego zwierza podobny“.

Bywał Staszic i na zgromadzeniach członków Akademii sztuk; spoglądał razu jednego „z pogardą na podłość zgromadzenia“, przygotowującego dyplomy na członków Akademii dla kilku panujących. Z czasem domyślił się, że „Imperatorowa rosyjska dla tej samej przyczyny jest od florentczyków uważana za wielką malarzkę, jak od pisarzy—za wielką filozofkę“.

W czasie swej bytności we Florencyi—pobyt ten przedłużył się aż do 15 listopada—Staszic był kilka razy w teatrze: na operze, wystawiającej tryumfującego Germanika, „wojarza i łupieżcę cudzej ziemi“, na komedyi „Dyabeł żonaty“ („niechęci do małżeństwa“), operetce „Wuj i synowiec oszukany“. Sztuki te nie podobały się Staszicowi ze względu na swą tendencję. Według niego, teatr ówczesny, utrzymywany przez książąt udzielnych, nie był użyteczny. Będzie nim dopiero wówczas, gdy spełni należycie swe zadania wychowawczo-społeczne, „kiedy wyszydzi zdradę, podstęp, kłamstwa i całą politykę dzisiejszych despotów... kiedy znienawidzi wojarzy, kiedy uwieńczy cnotliwe i ludzkie obywatela“.

Do rozrywek należały zapewne częste wycieczki zamiejskie. Na wielu wzgórzach wokoło miasta wznosiły się liczne klasztory; malowidła na starych ich murach były dla zwiedzającego dowodem „jak mocno trapią nieoświeconego człowieka, powzięte z wychowania mary“.

Dnia 15 listopada nastąpił wyjazd z Florencyi. Droga wiodła krajem zaludnionym, pracowicie uprawnym. Przed Pizą Staszic wdał się w rozmowę ze spotkanym wieśniakiem. Mówił z nim o wielkiem opodatkowaniu i odrywaniu rąk roboczych do żołnierki, jako o dwóch ważnych przyczynach ubóstwa chłopca polskiego. Zdziwił się wieśniak, że ojcowie pozwalają na odbieranie sobie synów. Staszic odrzekł, iż protest niemożliwy w Polsce: „choćby w jednej wsi niektórzy się oparli, jeżeli w drugiej ulękli się, nic nie poradzą i ci pierwsi ustąpić muszą“. Rozmowa dłuższa miała za temat stosunek pana do chłopca. Niewiele mógł pojąć z tego Włoch, gdyż „trzebaby było odkryć wszystko rzetelnie, czem jest pan, a czem wieśniak u nas“.

Czasem i sami Włosi zagadują o Polskę. W Lucce prezydent republiki, mąż poważny, zaczął dyskurs o Polsce, wyrażając zdziwienie, że tak długo trwa w Polsce niewola chłopca i liberum veto. Pytał czy nie obawiają się Polacy, aby ich „do reszty podzielono“.

Droga dalsza wiodła przez Liworno. Tu oglądał Staszic galery z zakutymi w kajdany skazańcami—barbarzyństwo, z którym mieszkańcy tak już się zżyli, że ich ono nie raziło. „Tak właściwie, jak u nas w Polsce, gdzie poddaństwo chłopu nie obraża żadnego szlachcica, chociaż to obraża całą Europę. Podobnie Anglicy uważają Polaków za barbarzyńców, bo ci chłopów trzymają w poddaństwie, a nie zdają sobie sprawy, że sami są tyranami, bo łapią, kupują i Włochów sadzą, zakutych, dla swojego zysku“. A gdy dowiedział się o okrucieństwach, którym podlegali próbujący ucieczki, wykrzyknął z nienawiścią dla przemocy uprzywilejowanych: „najlepiej widziałem, czem są panowie, gdzie ich interes“. Te przykre wrażenia zatarła na czas pewien Siena z cudną katedrą, ale tam malowidła wystawiały „obrzydły fanatyzm, obok czystej religii“ — sceny z wojen krzyżowych. A dalej, im bliżej Rzymu, tem żywiej udzielał się smutek okolic wiecznego miasta.

Na granicy Państwa Kościelnego po raz pierwszy podróżni poddani byli bezwzględnej rewizji celnej. „Chociaż Chrystus naganiał stan celników, przecież ich dzisiaj naślednicy Chrystusa trzymają... dla swojego zysku..., choć nauczają ludzkości i gościnności dla podróżnych“. Przy wjeździe do Rzymu powtórna „napaść od zbirów, którzy nie dopuszczają nas nawet, jak w krajach despotów, do domu, ale zamiast do miejsca łaski, prowadzą nas do miejsca zdzierstw, do celni“. Od tych przykrości wolni byli „panowie wielcy“, mający interesowne znajomości z kardynałami „nadszakiwaczami“. To zajęcie się papieżem sprawami świeckimi, stale oburzało religijnego proboszcza turobińskiego.

Natychmiast po przyjeździe do Rzymu Staszic, „opuściwszy wszystko“, udał się w skupieniu nabożnem do bazyliki św. Piotra. Tu spotkało go „pierwsze zgorzenie“. Grobowiec świętego otoczony był światłem rzęsiwym, a przed ołtarzem z Najświętszym Sakramentem widać było zaledwie dwie lampy. Muzyka kościelna skoczna, swawolna zamieniała świątynię w jakiś teatr.

Gdyby pocałunek pokoju—podczas mszy św. — urzeczywistniał się w życiu, w czynie, nigdyby religia, według Staszica, nie służyła „za narzędzie wojen... papież... duchowni prowadziliby lud ku jedności, a gromili króle i księżęta dumne, którzy tylu stracili ludzi, wydanych im na pastwę“.

Pierwszy pobyt w Rzymie trwał niecałe dwa tygodnie. Korzystał z niego Staszic intensywnie: zwiedzał kościoły, muzea, zabytki czasów starożytnych; doszukiwał się w nich pilnie przypomnień krzywdy ludzkiej. „Nieszczęsny kamień (obelisk wywieziony z Egiptu) zdawał mi się być obłany łzami ludzi, jęczących

pod despota". Ale zabiegał myślą i w przyszłość. Niepokoił go zakaz sprzedaży „najlepszych książek“, gdyż mógł się przyczynić do zaniku myśli w Rzymie.

W połowie grudnia udał się Staszic z rodziną Ordynata do Neapolu i okolic na pobyt prawie trzymiesięczny. Przygody w podróży nauczyły go najlepiej, czem był rząd neapolitański. Austernicy i woźnice, opłacając kardynałów w Rzymie i ministra w Neapolu, wyrabiali sobie u gubernatora, „grubego i podpitego abbata“, monopol wyzyskiwania dowolnego podróżujących. Terytorya neapolitańska i papieskie wydawały się czasem Staszicowi „dzikimi stepami afrykańskimi“, lud zaś tutejszy... „razem podły i zuchwały... w przysługach krnąbrny i zły“. A przyczyna wszystkiego znajdowała się w „niezdrowości rządu, gdyż niema rządu z większym nierządem, jak w tych krajach“. Ta uwaga przygodnego obserwatora zgadza się z tem, co na początku stulecia wypowiedział Charles de Brosses, że gorszego rządu nie można sobie wyobrazić. Przekonywał się o tym Staszic nieraz, obserwując położenie i charakter ludności, znaczenie i wpływy duchowieństwa, ustrój państwowy.

Z odrazą mawiał o nadużyciach rządu żołnierskiego, który na koszary zajmował szpitale, fundowane przez osoby prywatne dla ubogich chorych, a nie dla obrońców despotyzmu. Rządy te sąsiedzkie nieciły niesnaski między neapolitańczykami i rzymianami, którzy byliby wzajemnie przynajmniej obojętni, gdyby nie „niechęć despotów“.

Nie zaniedbywał też Staszic pomnażać swej wiedzy przyrodniczej: konferował po wielekroć z kierownikami obserwatoryów, gabinetów przyrodniczych, odbył wówczas kilka samotnych wycieczek krajoznawczych, był i na Wezuwiuszu, czyniąc zadość swej ciekawości gieognosty. A spaceru po Neapolu i okolicach, zetknięcie się z pospółstwem miejskim, o zapalnej wyobraźni, dawały bogaty materiał do spostrzeżeń ciekawych. I tutaj uważał, że lud spełnia praktyki religijne dzięki zwyczajowi, z którym wzrósł, dzięki naśladownictwu starszych przez dzieci, a nie z potrzeby sumienia, uczucia głębiej religijnego. Znać było wszędzie, iż lud wychowywano w przesądach; nawet strój ludowy był na modłę zakonnego. Przesądom ulegało nie tylko pospółstwo, lecz i przedstawiciele stanów uprzywilejowanych. Przecież dobroczynność publiczna, zakłady, przytułki nosiły cechy organizacji kościelno-klasztornej.

Tutaj w Neapolu zdarzyło się Staszicowi, zapewne wraz z Zamoyskimi, być u ministra angielskiego. Omawiano z ożywie-

niem i wielką admiracją dla Imperatorowej Wszechrosyi zwycięskie zdobycie Izmaïłowa. Staszic milczał „ale na powieść o wyznętych 25 tysięcy (ach) ludzi uczyniło mu (mi) się zimno“, gdy zaś spostrzegł, że sławę i poważanie zyskuje ten łatwo, kto śle na rzeź możliwie więcej ludzi, zaczął się „śmiać sam w sobie z głupstwa ludzi“. Gorzki był to śmiech, smutna to była wiedza o człowieku, wzbogaciły ją już wcześniej hymny pochwalne Voltaire'a. A jednak budziły się sympatyje inne. W Neapolu i Liwornie przedstawiciele finansów i handlu w rozmowie z ciekawym cudzoziemcem z dalekiej Polski „ukazali swe chęci za rewolucyą francuską“.

Wyjazd z Neapolu do Rzymu nastąpił 4 marca roku następnego, 1791. Trzeciego dnia tej powrotnej podróży wczesnym rankiem, po nocnym popasie, gdy ciekawie, jak zawsze, rozglądał się Staszic po okolicy, oświetlanej stopniowo przez słońce wschodzące, stanęła mu żywo przed oczami Polska, z której przed rokiem wyjechał. „Im bardziej słońce wschodziło, tem więcej ja widziałem kraj do Polski podobny: lasy, modrzewiska, trzciniśka, zalażłe strumienie, obrosłe rzeki, nieużyte krzaki; stada koni, kupy bydła rogatego, ludzi, w skóry odzianych, zarosłych, czarnych, gdzieindziej słoimiane szalase. Wszedłem do jednego, zastałem ciolaka, świnię z prosiętami i dzieci na jednym barłożysku. Wszystko mi ukazywało, żem w Polsce“. Później krajobraz się zmienił, znać było dobroczynne skutki osuszania błot, zamieniania ich w niwy urodzajne. Zmniejszała się również chorobliwa zabójczość morowego powietrza, które wraz z przywilejowanemi stanami „jedne czynią skutki w rodzaju ludzkim“. Te prace melioracyjne, podjęte z rozkazu Piusa VI, wzbudzają w Staszicu uszanowanie dla papieża tem większe, iż przypomniał sobie żywo postępowanie monarchów, którzy „wydarli“ poddanym swoim środki olbrzymie, aby przy ich pomocy zgłębić spokojnych mieszkańców państwa sąsiedniego. I znów bliższe okolice Rzymu przypomniały „nieludną, żyzną Polskę“. Dalej, błota pontyjskie dały powód do snucia planu osuszenia tych bagnisk; zadanie to syzyfowe podjąć mógłby tylko despota ambitny, lub lud wolny, niepodległy.

Po powrocie do Rzymu wznowił Staszic swe wędrówki po kościołach, pałacach, muzeach, a nawet zaczął bywać nietyle dla rozrywki, ile dla spostrzeżeń, na operach i maskaradach. Tutaj śmieszył go człowiek, którego „nie rozum a przesąd wodzi“, gdy dozwala kobietom siadywać z mężczyznami w ciemnych, zamkniętych łóżach, a nie pozwala im występować na scenie. Kiedyindziej, w kaplicy Borghesich, wyraził mniemanie, iż X. Borghesi

„oddał cząsteczkę drobnutką oltarzowi, z którego jego dom ma miliony“. Rzeźby zaś w muzeach nie tylko cieszyły jego wzrok, lecz i podsycaly nienawiść ku despotyzmowi swą treścią, wyrażającą niedolę uciemiężonych. Choć widział pałace despotów w Rzymie—„toż samo w Neapolu, w Wiedniu, w Paryżu, w Berlinie i w Petersburgu“—radował się, iż my już dalecy jesteśmy od stawiania despotom kościołów, ale smuciło go, że „czynimy tak wszystko, jak gdyby nas Bóg dla despotów szczęśliwości stworzył“. Oburzało go również, iż „cofnęliśmy się wstecz od Rzymian“, gdyż lud zrównaliśmy z bydłami, a narody dzisiaj „są sprzedawane, podpadają sukcesyi, darowiznom i zamianom, jak bydło“.

Pilnie i często oglądał Staszic pomniki dziejowe dawnego Rzymu, a nigdy nie patrzył na nie obojętnie. Widok kolumn świątyni Concordia wyrwał mu okrzyk szczery: „bodajby nie ważyły się wieki tykać tego głazu, pod którym wyrzeczono wyrok na zdrajców ojczyzny“. Przy zwiedzaniu szpitali i innych fundacyi dobroczynnych interesowała przyszłego filantropa-dobroczynięc głównie gospodarka finansowa: uważał fundacye bogate, a źle ułożone, bo więcej „zjadali sami kapelani, niż ubodzy“. Wogóle „ustawy miłościwe“ nie były rządnie utrzymywane: „nadto wiele próżniaków przy nich żywi się, przeto psują wiele ludzi“.

W świątyniach zaś widywał Staszic dowody zmateryalizowania religii, raziło go na każdym kroku duchowieństwo, mające na widoku tylko korzyści osobiste, sprawy świeckie. Dochodził do wniosku smutnego, iż moralność i wyobrażenia religijne jeszcze nisko stoją, bo trwa dotąd wiara w Boga, który pomaga najędcom niszczyć kraj spokojny, który lubi „odbierać z krwawych rąk wojarzy część zdobyczy“, o czem świadczyły—kościół stawiane ku upamiętnieniu zwycięstw. Całą duszą żywą Staszic nienawidził żołnierstwa, tej „podpory despotyzmu“. Z jakimż przejęciem oglądał w pałacu Corsini małe obrazki, wymownie wystawiające „nieszczęśliwe życie... ofiar despotyzmu. Tu widzieć, jak ich gwałtem biorą i włóczą i przysięgać każą, tam biją jak bydło i musztrować prowadzą... dalej rzną się wspólnie, zabijają... dla dogodzenia dumie swoich tyranów; w innych... niszczą miasta, wycinają ludzi, dzieci, gwałcą niewiasty“... Ma się rozumieć, ten antimilitaryzm Staszica był warunkowy, względny, bo skierowany wyłącznie przeciw „podporom despotyzmu“, gdyż sam on nawoływał żarliwie do ofiarnego bronięcia kraju przed najazdem obcym.

Wiele jeszcze wyobrażeń, myślał Staszic, odsuwa ludzi od Boga, a im „więcej rodzaj ludzki przybliży się do Bóstwa, tem więcej czuje miłość i kocha ludzi“. Wszystkie ceremonie kościelne Wielkiego tygodnia raziły Staszica, zwłaszcza zachowanie się

żołnierstwa papieskiego, które nie puszczało do kościoła prawdziwie nabożnych a skromnie odzianych, lecz tych postrojonych, co dla zabawy zjeżdżali do Rzymu. „Przez żołnierstwo dom Boży ukazał mi się domem despoty“. Msza papieska miała w sobie, według Staszica, tę wszystką wielkość, która przystoi monarchom świeckim, która porywa zmysły, oczy, ale obraża myśli, „która czyniłaby wrażenie w pospólstwie dzikiem... ale nie budzi nabożeństwa w ludziach dzisiejszego wieku“. Tego tygodnia świętego widział w Rzymie mnogie rozrywki dla myśli, wiele wrażeń zmysłowych, nie wszystkim równie dostępnych, miast nabożeństwa, skupienia, jedności wiernych. Tłumy na placu przed św. Piotrem zdawały mu się często „podobne do masek zapustnych“. A poza świątynią na ulicach włączyli się „szarlatani... jeden co obrazki i paciorki przedawał i prawił o ich skutkach, a drugi... maście i krople“. Wtedy nasunęła się Staszicowi konkluzya: „Kto chce nie być nabożny w Wielki tydzień, ten niech jedzie do Rzymu... tam nikt nie jest, ani nie może być nabożnym“. Po świętach Wielkanocnych, które przypadły tego roku 24 kwietnia, Staszic odbywał z Rzymu częste wycieczki do pobliskich przepięknych okolic, jak Frascati, Tivoli i t. d. Zachwycał się cudnem ich położeniem, tak przedziwnie od natury udarowanym, przeszłością świetną, minioną. W tym czasie niewiele o Polsce wzmianek; czasem tylko wyrwała się sarkastyczna uwaga na widok zbrojeń okrętów wojennych: „Szczęśliwa Polska, w której dotychczas tenże proch i armaty tylko na imieniny były używane“. Wieści z kraju dochodziły spóźnione znacznie. Powolna napozór, a tak brzemienna w skutki nieobliczalne czynność sejm u czteroletniego znajdowała pozornie bardzo słaby oddźwięk w duszy Staszica. Dopiero w późniejszych co do czasu notatkach znajdujemy krótką uwagę. „Wiadomość o przypuszczeniu miast do prawa i o urządzeniu tronu polskiego przyszła do Rzymu 20 maja. Uczyniła wielkie wrażenie, powszechnie mówiono, że król polski jest mocny i zawiele dano mu władzy, że teraz Polska będzie czynna“. A pod dniem 24 maja, już po wyjeździe z Rzymu, notował: „Konstytucye polskie wielkie wrażenie uczyniły tu, w tych wszystkich, z którymi tylko mówiłem...“. Ale nim doszły te nowiny dobre podnosił się nastrój ducha, powstawała jakaś niezłomna pewność w jutro lepsze, niechybne. Miało być ono koniecznością praw tkwiących w przyrodzie samej. Mówiły o tem Staszicowi górskie strunyki, spływające ku rzece Anio: wicznie odnawiające się ich wody, zwolna, z trudem, lecz ustawicznie wytrwale kruszyły najtwardsze, niezmienne opoki. „Tak skruszą się

wszystkie trudności, tamujące bieg pokoju i szczęścia rodzaju ludzkiego, który się zawsze odnawia, ustawicznie odradza, a przesady despotyzmu, przywileje, chociaż twarde, ale zawsze jedne, zawsze stare“. A były przecież oznaki i inne już w życiu społecznem, zbiorowem. „Nadchodzi czas ludu, mija duchownych i szlachty“, chociaż despotyzm święcił jeszcze tryumfy swoje okrucieństwami, wywołującami zgrozę.

Ku końcowi pobytu w Rzymie Staszic uogólnił wrażenia swoje w uwagach powszechnych: o szlachcie, o przyczynach malej ludności, o podatkach, sądach i wogóle rządzie. Według tych uwag, władza i potęga rządu papieskiego opierała się na wierze i opinii. Rząd i poddani są „nieczynni“. Szlachta i panowie, choć im rząd był przychylny, tęsknili do despotyzmu. Mimo to rządy w państwie kościelnem, wbrew poglądom poprzedników Ch. Brochess'a i Montesquieu'a wydały się Staszicowi nieco znośniejsze, niż w monarchiach despotycznych, bo nie widział tam militarizmu, nie spotykał chłopą, uciekającego przed złym dziedzicem. Widocznie różnica poglądów miała źródło w tem, że ani Brochess'owi, ani Montesquieu'emu nie była tak, jak Staszicowi, nawzawsze bliską niedola chłopą pańszczyźnianego, nie znali też oni podobnych gwałtów, jak pruska czy austryacka branka żołnierza polskiego.

Wyjazd z Rzymu z powrotem do kraju nastąpił po 20-ym maja. Za Rzymem „cała droga smutna. Stepy niezmierzone częścią siane, częścią puste, nigdzie drzewa nie widzieć, oko ginie w pustkach, tylko je góry Apeniny tamują lub gęste rozwaliny“... Znów nanizują się trafne spostrzeżenia—gieologiczne, etnograficzne i inne. W celu ich uzupełnienia ponownie zwiedzać będzie Staszic muzea, gabinety, biblioteki, kościoły. W Toskanii położenie bez zmiany: jeszcze widać było, że Rzym, przy pomocy licznego kleru, wiele może dokonywać w pospólstwie, a przeto książę dotąd ulegać musi papieżowi. Przez Bolonię, „gdzie najwięcej mnichów i mniszek“, Modenę przybył Staszic do Reggio na czas zaburzeń ludowych, wywołanych niezwykłym uciemieniem podatkowem. W Genui, republice handlowej, niechęć ku szlachcie, potęgowana bezprzykładnem opodatkowaniem ludu i przywilejami możliwych, wybuchnie, przewidywał Staszic, w blizkiej rewolucyi. W tejsze Genui zwiedzał powtórnie galery przepełnione więźniami. „Okropny uderzył mnie widok... miejsce to całe zastałem pełne nędznych niewolników... nogi w kajdanach, po kątach leżą... żywność cała tak mizerna, jak dla psów... pełen smutku i okropnych myśli wyszedłem z tej męczarni“. W Turynie, w pierw-

szych dniach czerwca, był obecny gwałtownym wystąpieniem studentów przeciw policji w obronie autonomii uniwersyteckiej. Stróżę porządku ku zadowoleniu widzów musieli ustąpić. Z Turynu droga wiodła do Medyolanu. O medyolańczykach mówił z odrazą, że już do despotyzmu „przyswojeni“. „Nikczemni, nie mają duszy, którąby czuli niewolę. Słuchają nad sobą władzy, która do nich niezrozumiałym językiem mówi“.

Po wyjeździe z Lombardyi zaznaczała się wyraźnie odmiana w ludziach: „lud ma coś dumnego, w oczach zuchwałego, nie widzieć w nim tej skromności, ani tej bojaźni, którą w milańskim widziałem“. Dalej, już poza Włochami, im bliżej Polski, tem więcej przypomnień jej niedoli.

Po wielekroć widzieli przejeżdżający dezertarów z wojska, których okoliczni chłopci chwyтали przez chciwość zysku. Między przyłapanymi byli i Polacy. Współczucie i bezsilność towarzyszyły temu widokowi. „Widziałem, jak wilka, związanego Polaka, czułem jego nieszczęśliwość, lecz w despotyzmie nie można być czułym, nie trzeba żałować ludzi“.

Do Wiednia zjechał Staszic z rodziną ordynata Zamoyskiego w końcu lipca, a przebył w stolicy naddunajskiej do połowy grudnia tegoż 1791 roku. Tu już ani na chwilę nie dawała mu spokoju czujna myśl o Polsce. Na spacerach po wałach, gdzie Sobieski i dzielni Polacy leli krew dla uwolnienia Wiednia, który obecnie naród rozszarpał, shańbił. W rozmowach z emigrantami, w wieściach z kraju i o kraju. Przekonywał się, czem jest dusza pana, który wzrósł w kraju, w którym prawo nieczynne. Czepiały się Staszica jeszcze smutniejsze widoki, które mogły już zatrzeć najintensywniejsze wrażenia włoskie. Spotykał młodzież polską, z krajów zabranych, chętnie kształconą w szkołach tutejszych kosztem cesarza, ale też i kosztem polskości. Piętnować musiał plugawe czołganie się „przed byle Niemcem“ przyszłych targowiczian: Potockiego, Rzewuskiego i innych; patrzeć—na podłe ich knowania przeciw ojczyźnie własnej, bo ona chciała ich poddać zbawczym dla narodu prawom ogólnym. Wówczas jeden za drugim ściągali do Wiednia różni „z hordy złych Polaków“. Chcąc rozerwać myśl, odświeżyć umysł, oddawał się znów Staszic z zapalem studyowaniu miasta, jego osobliwości i życia potocznego. Interesował go w niem więcej stan przemysłu, handlu, oraz centralizm biurokratyczny i wojskowy. Błądził po przedmieściach; widział tam nieraz dom ubóstwa—skutki jego i koszary—przynęną nędzy. Obserwował często uciechę pospólstwa z widoku ćwiczeń wojska—tego źródła największych nieszczęść ludu. Śledził również według gazet, bieg życia politycznego w Prusach.

Czytał z oburzeniem mowę Hertzberga, „pochlebcy despotów“, który dowodził, że w społeczeństwie musi istnieć stan uprzywilejowany—szlachta. „Tak rozumować jest to sposób dworski“.

Uderzył go kiedyindziej dekret cesarski Leopolda II, wyrzekający na despotyzm ministeryalny—najgorszy i najniebezpieczniejszy—w stosunku do krajów zabranych. Dekret słusznie wykazywał zło, ale nie wskazywał nań lekarstwa. Jedyna ulga w przeświadczeniu, że „despotyzm krain Wiednia i Berlina już doszedł lat dojrzałych“, więc wkrótce chylić się musi ku upadkowi wyczekivanemu. Widać, jak i w Wiedniu starał się Staszic obserwować, słuchać, badać, ale nie mógł już napewno tak spokojnie ciągle tego czynić, jak we Włoszech. Zbyt głośne dochodziły tu echa z kraju. W Wiedniu skupiało się podówczas, zadzierzgiwało i rozplątywało boleśnie wiele spraw krajowych, mniejszej lub większej wagi dziejowej, ale zawsze budziły one przesmutne echa we wrażliwej nad miarę czasu duszy Staszicowej. Boć już wżerał się coraz natarczywiej w odporne dotąd ciało narodu system austriacki wynaradawiania w interesie monarchii. A na lep tego darmowego szkolnictwa cesarskiego zjeżdżało wówczas do Wiednia „bardzo wiele z nazwiska Polaków, ale z duszy podłych ludzi“, czołgających się „przed ostatniemi gałgany..., aby dzieci w tęż szkołę zarazy wziętemi być mogły“. Ta chciwość rozpasana, karyerowiczostwo, zanik zupełny poczucia godności narodowej, oburzały Staszica do żywego. „Ale uspokoiłem się wkrótce, gdy widziałem, iż owi panowie i szlachta polska dojrzała zupełnie do despotyzmu—a tak prędzej ocaleje reszta kraju“. Był pewien, że lud dojrzał oddawna do obywatelstwa. Spostrzegał i tu w Wiedniu tych „wzgardzonych Maćków“, do niczego niezdatnych, według mniemania szlachty, tych „piecuchów, pijaków, leniuchów“, sprawnie, przytomnie i żwawo pełniących trudy wojskowe. Widywał ich i gdzieindziej przy spełnianiu innych obowiązków. I żał głęboki, szczerzy bije z jego wyznania prostego, bezpośredniego. „Smutek ogarniał ducha mojego, kiedy sobie przypominałem, że czego uparta i głupia szlachta w tym człowieku nie chciała uznać, kiedy ją mógł bronić, to dzisiaj z musu uznaje kiedy... tej niewoli stał się narzędziem, a ży stanęły mi w oczach, gdy pomyślałem sobie: ten mężny lud mógł być obrońcą Polski, który teraz już jest gotów, a stanie się może obrońcą łupieżcy Polski i strzelać będzie na swój ród własny, na Polaków“. Spełniały się obawy Staszica. Głos jego proroczy przebrzmiał prawie bez echa. Ucichł wobec nieprawości targowiczian, niemocy i wahań cnotliwych miłośników ojczyzny, któ-

rych „nadto uważna roztropność i bojaźń“ gubiła. Tym zgrzytem niejako, nawrotem do sprawy włościańskiej, fundamentu odrodzenia kraju, zakończył Staszic swe notaty podróżne.

Przebywał jeszcze w Wiedniu do połowy grudnia 1791 roku, 15 tegoż miesiąca przez Kalwaryę wracał do kraju, nad którym już wisiała groźna chmura najazdu rosyjskiego, pociągającego za sobą kontrrewolucyjny przewrót państwowy — rządy Najjaśniejszej Konfederacji obojga narodów. Lecz Staszic wobec tych wypadków zachowywał się biernie. Nie nadszedł jeszcze czas działania jego publicznego, więc w dalszym ciągu w Zamościu wiódł „życie od ludzi odosobnione, poświęcił (em) czas na rozeznanie tych wad szkodliwych ogólnej ludzkiej rodzinie, zbierał (em) uwagi nad głównymi epokami zmiany, powstania i upadania w cywilizacji narodów“. Praca ta ciągła, skupiona, do której materiału niepośledniego dostarczyły te i inne podróże krajowe i zagraniczne, trwać będzie lat kilka, o ile kiedykolwiek się skończy.

Zaostrzy ona w Staszicu zmysł obserwacyjny oraz krytycizm myślowy; wyzwoli częściowo z pod dodatnich zrazu, a później zbędnych wpływów Voltair'a, Rousseau'a i encyklopedystów francuskich, z którymi życie się przez lekturę i studia pilne zaznaczały się i w powyższych notatach podróżnych; wydobędzie z pod pewnej przesady teoretycznej samorodną bezpośredniość przekonań, skryształizuje wreszcie poglądy te w żywy program praktycznego działacza społeczno-politycznego, świadomego swych zadań i ku nim dróg pewnych.

I wówczas dopiero Staszic wystąpi na widownię pracy publicznej.

BRUNO STAWENO.

7797